



**M**ój dziadek uwielbiał wędrówki. Mówili na niego *Powisnoga*, ponieważ niemal codziennie – czy słońce, czy deszcz – wychodził z domu, żeby zrobić dziesięć tysięcy kroków. Mówił, że chadza dla zdrowia i oczyszczenia głowy z trosk. Nie rezygnował ze swojego zwyczaju nawet w Wigilię, dlatego tuż przed pierwszą gwiazdką znikał gdzieś na ponad godzinę. Od rana jednak krzątał się po domu, pomagając moim rodzicom w świątecznych przygotowaniach: odkurzał dywany, ścierał kurze i piekł ciasto. To ostatnie nigdy mu się nie udawało – zawsze wychodził zakalec, czyli takie niewyrośnięte, niewypieczone ciasto. Lecz zamiast je wyrzucić, z czułością zawijał je w sreberko i chował do plecaka turystycznego. Następnie zarzucał pakunek na plecy i wychodził z domu, niezależnie od tego, czy na zewnątrz prószyły delikatne płatki śniegu, czy szalała śnieżycą.



W tym roku śnieg spadł jak na zamówienie i otulił gałązki świerków w naszym ogrodzie. Lampki, którymi przyozdobiliśmy

balkon, świeciły żółtym blaskiem, a świąteczne skrzaty stały na regałach jak strażnicy czuwający nad tym, by te święta były idealne.

Czemu miałyby się stać inaczej? Zapowiadało się dobrze, a na dodatek cały rok byłam grzeczna!

Może poza styczniem, kiedy rzuciłam śnieżką w płot sąsiada.

I poza lutym, kiedy zbudowałam igloo i straszylam z niego przechodniów.

Aha, i jeszcze był marzec – wtedy samodzielnie zrobiłam remont całego domu, to znaczy pomalowałam akwarelami meble, w tym ulubione biurko taty.

W kwietniu zapomniałam zamknąć okno w pokoju, a nasz kot, myśląc, że to zaproszenie, uciekł. Po dwóch dniach dziadek znalazł go na drzewie.

W maju...

No dobra. Nie byłam grzeczna cały rok, ale tak się zwyczajnie nie da! Najważniejsze, że się starałam i uczyłam na swoich błędach. Drobne, a nawet większe potknięcia nie sprawiają, że wszystko zostaje stracone. Myślę, że Święty Mikołaj to rozumie. W przeciwnym wypadku żadne dziecko nie dostałoby od niego prezentu.

Zresztą nawet Mikołaj pewnie nie jest zawsze taki *święty*. Żeby być szefem fabryki, która robi ponad dwa miliardy zabawek rocznie, trzeba mieć nie tylko dobre serce, ale też twardą rękę do zarządzania. Mikołaj musi pilnować elfów, dbać o dostawy na cały świat i zdążyć ze wszystkim przed 24 grudnia.

Na pewno zdarzyło mu się rzucić kilka dosadnych słów, gdy elfy pracowały zbyt wolno. Legenda głosi, że Mikołaj zawsze jest łagodny, ale ktoś, kto kieruje tak wielką operacją, musi mieć charakterek!

Nie przejmowałam się więc moim *charakterkiem* i wiedziałam, że kto jak kto, ale Mikołaj to zrozumie. W końcu ja też zarządzałam operacją zwaną *Wigilia w moim domu*.

A ta Wigilia miała być idealna.

Wszystko szło w dobrym kierunku. Kiedy robiłyśmy ciasto, mama wbiła jajka tak, że do masy nie wleciała żadna skorupka. Ja dosypałam mąki z taką precyzją, że nic nie wysypało się na ziemię. Tata zajął się dekorowaniem stołu i poszczególne elementy perfekcyjnie współgrały: serwetki pasowały do sztućców, sztućce – do talerzy...



Tylko dziadkowi, jak co roku, zamiast ciasta wyszedł zakalec.

Staralam się tym nie przejmować, ponieważ dziadek i tak, gdy wypiek ostygł, zawinął go w sreberko i schował do plecaka. Nieidealne ciasto szybko zniknęło sprzed moich oczu i nie burzyło harmonii.

Święta były więc dopięte na ostatni guzik. Problem w tym, że mój dziadek również zapiął ostatni guzik kurtki i zaczął zakładać śniegowce.

– Dziadku! – zawołałam. – Weź mnie ze sobą. Mógłbyś mnie ciągnąć na sankach.

Wiedziałam, że mi nie odmówi – dziadkowie zawsze zgadzają się na wszystko. Chwilę pojeżdżamy z górki, a potem wrócimy do domu i będziemy wypatrywać Świętego Mikołaja, który na pewno przyniesie mi duuużo prezentów.

Dziadek spojrzał na mnie z rozbawieniem.

– Wnusi, idę daleko, nie będę cię ciągnął.

W tym momencie odezwał się tata, który najwyraźniej przysłuchiwał się naszej rozmowie:

– Dziadek jest już stary.

Ten zmierzył go wzrokiem, ale nie skomentował. Może dziadek i był stary, ale krzepę miał lepszą niż większość młodych ludzi w sąsiedztwie. Przede wszystkim jednak był uparty i podejrzewałam, że pójdzie sam, choćbym nawet zaproponowała mu podwózkę śnieżnym skuterem.

Zgodnie z przewidywaniami zamknął za sobą drzwi i wyszedł w noc. Podbiegłam szybko do okna.

Mrużyłam oczy, próbując wyśledzić go wzrokiem poprzez fiuknie tańczące płatki śniegu. Nigdzie go nie widziałam, jakby rozpułynał się w powietrzu.

Po kilku minutach usłyszałam skrzypienie drzwi wejściowych. Przestraszyłam się, że to złodziej, szybko się jednak okazało, że to dziadek wrócił. Wszedł do domu, strząsając z butów śnieg.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

W rękach trzymał kije i dwie pary nart biegowych: jedne duże, drugie mniejsze. Uśmiechnął się i powiedział:

– Jeśli chcesz iść ze mną, to załóż kurtkę, czapkę i buty do nart.

Ja i dziadek często biegaliśmy na nartach. Zwykł mawiać, że jeśli nie będę uprawiać sportu,

